

# ZBIERACZ GRZECHÓW

Krystyna Śmigielska

ZBIERACZ GRZECHÓW  
i inne opowiadania



Kraków  
2010

Miasteczko spowite w senny marazm drżało w promieniach słońca. Prowincjonalna fatamorgana misternie tkana z marzeń mieszkańców. Dzwoniąca cisza nastrajała pesymistycznie. Lunatycy słonecznego blasku snuli się po wąskich chodnikach, dźwigając brzemię niespełnionych ambicji. Przysiadali na ławce koło marnej, kamiennej fontanny wypluwającej skąpe ilości wody. Oaza przynosząca ukojenie. Świątynia potajemnych spotkań z Bogiem. Spadające krople przypominały o przemijaniu, wznosiły parasol tęczy, rozpylały przyjemny chłód, dając nadzieję na przetrwanie. Dłuższa kontemplacja nieuchronnie prowadziła do wniosku, że uniesienie spowoduje szybki upadek, rozplątanie złudzeń w wielką, bezbarwną plamę. Czar wyzwolenia się z sennej rzeczywistości pryskał.

Nie wiedzieli, skąd przybył. W ręce niósł gruby kij, solidną podporę swojego jestestwa. Na plecach dźwigał wielki garb, drewnianą skrzynię wżerającą się w ramiona starymi, skórzanymi pasami. Nieznajomy,

nietutejszy, obcy. Przyniósł z sobą zaciekawienie, niepewność, poczucie zagrożenia. Rozsiadł się na ziemi przy świętym, kamiennym kręgu. Słuchał cichego szemrania, śpiewu spadającej wody, jakby chciał dowiedzieć się czegoś ważnego, co da mu siłę przetrwania, moc zrozumienia, wiedzę ostateczną, absolutną.

Gromadka dzieci, stojąca po drugiej stronie ulicy, przyglądała się temu niecodziennemu zjawisku. Bojąc się spłoszyć dzienną zjawę, oszeptywała dziwny wygląd Przybysza. Intrygująca skrzynka rozbudzała uśpioną wyobraźnię, wypiekając rumieńce podniecenia na bladych twarzach malców. Nieznajomy podniósł się, podpierając swe ciało kosturem. Wystraszona dzieciarnia rozbiegła się w popłochu. Po chwili zza węglów małych kamieniczek pobłyskiwały błękitne, zielone, czarne, piwne, winne i niewinne oczy pełne strachu i zainteresowania. Przybysz zdjął balast z pleców, delikatnie, z namaszczeniem, ułożył go na ławce. Z kieszeni kurtki wyjął kawałek splotowego materiału, przetarł wieko skrzyni, odwrócił się, wytrzepał ściereczkę, ponownie przetarł drewnianą powierzchnię. Dopiero teraz mógł rozprostować obolałe członki. Splótł z tyłu rękę i naciągał zdrętwiałe ramiona. Ciekawskie dzieci, zbite w zwartą masę, powoli, krok za krokiem, posuwały się w stronę Obcego. Instynktownie wyczuwały nadejście punktu kulminacyjnego, ujawnienia wielkiej tajemnicy, otwarcia drzwi raju lub piekła. Przyniesiona

przez Przybysza paka mogła odmienić ich życie, stać się zalążkiem nowego wcielenia, niewidoczną siłą dającą możliwości przeniesienia się w czasie i przestrzeni. Wrota skrzyni wydały ciche skrzypnięcie, które odbite echem od rozpalonych żarem słońca ścian domków, powróciło do fontanny w postaci grzmotu. Jak wielka księga wtajemniczeń otwiera przed czytelnikiem możliwości korzystania ze źródła magii, tak przyniesione na barkach Nieznajomego zbite z desek pudełko napełniało nadzieją na korzystniejsze jutro mieszkańców miasteczka. Arka przymierza zawierająca przepis na udane życie. Dorośli, wyrwani z odrętwienia, przyłączyli się do swoich pociech, dzieląc ich podniecenie, pełne niecierpliwości oczekiwanie. Obawa przed wyartykułowaniem własnych pragnień krępowała ich nogi niewidzialnymi pętami.

Przybysz obserwował zbliżającą się ciżbę. Jego twarz nie wyrażała emocji. Jak dostoyny kupiec, spokojny, opanowany, rozkładał kram rzeczy niemożliwych do spełnienia. Małe fiołki eliksirów pobłyskiwały w promieniach słońca. Wystawione na sprzedaż, na zatrącenie, na pośmiewisko. Obiecywały swoim blaskiem polepszenie samopoczucia, bytu doczesnego, wiarę w marzenia. Maleńkie buteleczki złudzeń. Nieznajomy pocierał flakoniki szmatką, ustawiał na otwartym wieku skrzyni. Czerwone, fioletowe, zielone, niebieskie, żółte. Zgromadzeni w milczeniu śledzili wprawne ruchy

jego dłoni. Obcy skończył przygotowania. Dziarsko ruszył w stronę gapiów. Tłumek jęknął, spłoszony cofnął się o kilka kroków. Przybysz odwrócił się do niego plecami, uniósł głowę, z poważną miną przyglądał się swojemu dziełu. Wizja lokalna wypadła pomyślnie. Z wyraźnym zadowoleniem zacierał ręce. Usiadł wygodnie na skraju drewnianej, odrapanej z zielonej farby ławki. Znalazł swój azyl w nieprzychylniej mu rzeczywistości. Zbiegowisko ustawiło się półkołem, czekało. Przybysz sięgnął do kufra, wyjął bochenek chleba, wbił w niego zęby, chwilę mocował się jak z niewidzialnym wrogiem. Silne szczęki zwyciężyły materię pokarmu. Żuł powoli.

- Co pan je? – głos dobiegł z wnętrza zwartej cizby.
- Chleb.

Obcy wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał bochenek. Ludzki las zaszumiał, rozstąpił się, uwolnił śmiałka. Przed Przybyszem stał kilkuletni chłopak, odważny przedstawiciel. Z racji swojego wieku nie rozumiał grożącego mu niebezpieczeństwa. Małoletnia wyobraźnia nie obejmowała konsekwencji brawurowego czynu. Na wątych plecach dźwigał wścibskość miasta. Nieświadomy ciężaru odpowiedzialności przyjął poczęstunek. Naśladując Obcego, odgryzł spory kęs z ofiarowanego mu daru. Przeżuwając, patrzył z niedowierzaniem na Nieznajomego. Odwrócił się ku gromadzie.

– To jest chleb! Zwyczajny chleb! – stwierdził z niesmakiem.

Oddał nadgryziony bochenek. Stał teraz blisko skrzyni i przyglądał się tajemniczemu buteleczkom. To one były właściwym celem jego spontanicznego wystąpienia.

– A to co? – zwrócił się do Przybysza.

– Moc – odparł zapytany.

– Jaka moc?

– To zależy od potrzeb tych, którzy ją kupują.

– A ile kosztuje taka moc?

– Spytaj tych, którym jest ona nieodzowna. Ludzie znają jej wartość.

Gromada zaczęła się rozchodzić. Przybycie me-sjasza, zwiastującego możliwość zmian, wprawiła ich w zakłopotanie. Obcy został sam ze swoją skrzynią. Po jego twarzy przemknął refleks uśmiechu.

Pustymi chodnikami przebiegało tchnienie lata. Przybysz zsunął kapelusz na czoło, złożył ręce na piersiach. Cierpliwy posąg. Zdawał sobie sprawę z trudnych decyzji przyszłych klientów. Nabycie mocy kojarzyło się z wyznaniem własnych słabości, lęków, grzechów, z oczyszczeniem, z możliwością pokuty i kary.

W otwartych oknach leciutko falowały firanki nę-kane przyspieszonymi, pełnymi strachu oddechami. Niecierpliwe spojrzenia wypatrywały grzeszników,

przepelnionych nadzieją odkupienia. Egoistycznie nastawieni na własne istnienie, szczelnie zamknięci, bez woli przebaczenia, pełni niemocy, bezradności, agresji, wyczekiwali na prekursora, który przystąpi do urojonego konfesjonatu w kamiennym kręgu fontanny, da im nadzieję na odkupienie własnych win. Chyłkiem, w cieniu ścian domów, z twarzami za chustkami, szalami, okularami, podążali w kierunku Przybysza. Zamiast rachunku sumienia powtarzali litanię pobożnych życzeń. Brak winy był jedynym wytłumaczeniem. To czuwająca nad nimi opatrność nie stanęła na wysokości zadania. Ich jedynym marzeniem jest czynienie dobra. Mocy potrzebują wyłącznie do walki z osaczającym ich złem. Śmieszni prostacy oszukujący sami siebie, niepotrafiący trafić do własnego wnętrza. Wierzący w moc eliksirów, kolorowych szkiełek, talizmanów, amuletów, w zmywającą właściwość wody. Kolejno schylali zamaskowane twarze, szepcząc, muskali spierzchniętymi wargami ucho Przybysza. Spowiadali się z własnych ułomności, lęków, pragnień. Wyznawali winy cichym, ledwie słyszalnym głosem. Obiecywali poprawę, ujawnienie prawdy, naprawienie wyrządzonych krzywd. Potrzebna im tylko siła, mocna wiara we własne dobre intencje. Z pomocą eliksiru pokonają zakorzeniony w nich strach, odnajdą sposób na uwolnienie się z kajdan małego miasteczka. Wy płyną na szerokie wody życia, omijając nieprzyjazne cieśniny,



mielizny, wiry, będą dryfować pod rozwiniętymi żaglami. Moc da im poczucie wolności, spełnienia. Kto wie, może uda im się nawet pokochać drugiego człowieka. Przybysz z kamienną twarzą, pełen skupienia i zrozumienia, wysłuchiwał zwierzeń, w milczeniu rozdawał kolorowe buteleczki. Zawijali fiolki w wykrochmalone chusteczki z wyhaftowanymi inicjałami. Do pustej skrzyni wrzucali drobne monety, brzęczącą zapłatę za darowaną przyszłość. Odchodząc, odruchowo składali ręce do modlitwy. Oczami wyobraźni widzieli swoją glorię i chwałę, świętowali odniesione sukcesy, utwierdzali się w pokucie, pragnieniu przyszłych zmian. Lekko zgarbieni, z głowami wciśniętymi w ramiona, oddalali się od kamiennego kręgu fontanny. Złodzieje, którym udało się ukraść własne szczęście.

Kamienną świątynię opuścił ostatni grzesznik. Zmęczony Przybysz ciężko podniósł się z ławki, obmył ręce i twarz w ciepłej wodzie fontanny. Ze skrzyni wyłowił zebrane monety, przez chwilę ważył je w dłoni, po czym niedbale wcisnął zarobione pieniądze do kieszeni kurtki. Zamknął puste wieko skrzyni i przewiesił ją przez prawe ramię. Klepnął kieszeń kurtki. Z zadowoleniem słuchał brzęku monet.

– Ludzie będą zawsze grzeszyli – powiedział.  
Odszedł.

## SPIS TREŚCI

Zbieracz grzechów . . . . .	5
Wizyta na cmentarzu . . . . .	15
Kalendarze . . . . .	23
Irlandczyk . . . . .	29
Dekownicy . . . . .	41
Landszafcik . . . . .	53
Awaria . . . . .	57
Poeta . . . . .	65
Oblepil i Pistrzykle . . . . .	79
Papieros . . . . .	99
Drzewa w skrajni . . . . .	103